

WYDAWNICTWO POLSKIEGO ZW. PRAWNIKÓW KRESOWCÓW

K O D E K S
H O N O R O W Y
A S Ą D K A R N Y

(SPRAWA p. Z. KARNICKIEGO-SMOLEŃSKIEGO)

Z PRZEDMOWĄ
PROFESORA KONRADA DYNOWSKIEGO

W A R S Z A W A — 1 9 2 7

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA

WYDAWNICTWO POLSKIEGO ZW PRAWNIKÓW KRESOWCÓW

K O D E K S
H O N O R O W Y
A S Ą D K A R N Y

(SPRAWA p Z KARNICKIEGO-SMOLENSKIEGO)

Z PRZEDMOWĄ
PROFESORA KONRADA DYNOWSKIEGO

W A R S Z A W A — 1 9 2 7
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F HOF S I C K A

8299/90

205571^F

205571



1180081580

PAd

Uboga kronika niezwykłych ekspertyz została powiększona powołaniem przez sąd wileński profesora prawa karnego miejscowego uniwersytetu—p. Wróblewskiego, na biegłego do „spraw honorowych“ w sprawie p. Karnickiego-Smoleńskiego.

„Niezwyklemi“ nazywam głośne za mojej pamięci: berlińską — w sprawie słynnego akademika malarza Greff i druga, podczas sprawy notariusza Nazarowa w Moskwie. Niezwykle były te ekspertyzy ze względu na ich temat i na osobistość biegłych. W pierwszym wypadku najznakomitsi niemieccy malarze i poeci mieli za zadanie określić stan „artystycznie egzaltowanej psychiki“, właściwej talentowi w chwili twórczego nastroju— w danym wypadku autora głośnego obrazu „Märchen“, formułując swoje zdanie nie konkretnie, ad hoc, ale jako ogólno-psychologiczne zjawisko. Chodziło o bardzo prozaiczny stosunek do modelki inkryminowany staremu Greff (70 lat).

W drugiej — znakomite aktorki rosyjskie były powołane do określenia stanu psychiki, w jakim znajdują się odurzone sukcesem debutantki, tracące świadomość realnych okoliczności. Obie ekspertyzy spotęgowały czynnik rozgłosu dla spraw, ale obie ze względu na przedmiot i podmioty nie

były ekspertyzami, odpowiadającymi zasadom procedury karnej.

Obecna ekspertyza, według mojego zdania, co do rezultatów znajduje się mniej więcej w tem położeniu, co i dwie wyżej wspomniane. Dwa poważne głosy prawnicze (kronikarz Kurjera Warszawskiego, znany i wielce ceniony w świecie praktyki prawniczej oraz historii sądów i sądownictwa, p. H. C. i jednocześnie redakcja „Gazety Sądowej“) nazwały ekspertyzę wileńską niezrozumiałą i niezgodną ani z brzmieniem ani z myślą przepisów procesowych. Tak czy inaczej, ale o kwestji tej ekspertyzy szeroko mówią prawnicy od chwili rozprawy sądowej. Większość wzrusza przytem ramię i kiwa głową; do tych ostatnich bezwarunkowo ja także należę. Wypowie się o niej kategorycznie w swoim uzasadnieniu sąd, który wydał wyrok, mając tezę biegłego jako jedną z podstaw do wyrokowania. Że tak było, czyli, że sąd po wysłuchaniu biegłego nie odrzucił jego tezy *ex post facto*, dowodzi sam tenor wyroku (nie było uniewinnienia). Możliwem jest, że wypowiedzą się w tym względzie jeszcze inne instancje, i że kwestja zabłąka się do Sądu Najwyższego.

* * *

Piękna mowa obrony w osobie mecenasa Mariana Niedzielskiego przytoczoną niżej *in extenso* daje nawskroś przeanalizowany, ciekawy orientacyjny materiał. Rozbiór ekspertyzy jest w niej przedmiotem szczegółowego wstępu, podnoszącego w konkluzji, że ten błąd procesualny (dodam od siebie może i więcej—grzech), spaczył tok procesu. Ale błąd jak grzech mają te same skutki i w pro-

cesie tworzą chaos, który ma ci sędzenie. Ta sytuacja utrudniła i skomplikowała zadanie obrony, która rozumiała, że sąd, przysłuchując się uważnie wywiodom eksperta do „spraw honorowych“, wnie- sie coś z jego opinii do swej pracy logicznej i ściśle prawniczej, co znowu niewątpliwie odbije się na wyroku.

*

*

Stosując się do życzenia Zarządu Polskiego Związku Prawników Kresowców, jako jego Prezes, dodaję swoich parę wstępnych i ulotnych uwag.

Powołanie eksperta do „spraw honorowych“ i przedłożone mu na sędzie pytanie, które, według teorii i praktyki procesu karnego, winno być ściśle określone, ścierało się do wyjaśnienia tych norm, które kierują się na zasadzie kodeksów honorowych osoby, przyjmujące udział w występku lub przestępstwie, — jakim jest pojedynek.

Pojęciowo i pozytywnie możliwe są, jak wiadomo, obie koncepcje w zależności od poglądów i polityki ustawodawcy. Czem jest pojedynek z punktu widzenia prawnego, to leży poza granicami kodeksu honorowego; pytanie to może interesować wielu czy wszystkich, ale nie sąd. Sąd, który miał przed sobą oskarżenie o przestępstwo zabójstwa (art. 458 K. K.) uznał za stosowne przyjąć wniosek urzędu prokuratorskiego o powołanie biegłego, zgłoszony prawie w przededniu rozprawy. Dopuszczając biegłego (?) sąd uznał zasadniczo, że dla oceny zabójstwa nie są dostateczne własne wiadomości sądu z dziedziny prawa, i że z drugiej strony są zbędne inne wiadomości ściśle naukowe, (stan psychiczny, albo techniczne, o których mówi art. 325 U. P. K.). Chciał natomiast widocznie do-

pełnić materiał powstającego przy wyrokowaniu syllogizmu, w którym pierwszą przesłanką są tezy o charakterze normatywnym, drugą zaś — faktyczna strona dowodu. (Nadmieniam, że nie jestem zwolennikiem Kelsena).

Niech mi wybaczy sąd, gdyż nie krytykuję go, a właściwie tylko kontroluję siebie, czy nabyte podczas 30-letniej praktyki sądowej i obcowania z kryminologami w Rosji i zagranicą, wiadomości nie nadały mi cech (zwolennika zbyt formalistycznego i scholastycznego procesu. Jestem jednakże przekonany, że „umiejętność grania na klawiszach fortepianu procesowego“ ma ogromne znaczenie dla zagwarantowania ścisłego przestrzegania tych granic, które należą do istoty procesu. Dokładną jego znajomość, jako gwarancję od błędów z punktu widzenia struktury morfologicznej, jak również funkcjonalnego znaczenia i celowości działania każdego czynnika, który wchodzi do procesu sąd winien posiadać i ad oculos wykazywać tę znajomość w każdym poruszeniu. W danym wypadku czegoś brakowało. Błąd pierwszy, moim zdaniem, polegał na samem powołaniu eksperta. Niezwykłość tej ekspertyzy co do treści prawnej spaczyła całą perspektywę procesu, pozbawiła go tej atmosfery spokoju i pewności, że każdy jest na swoim miejscu i spełnia to, co mu nakazuje myśl ustawy.

Określenia „ekspertyza jurydyczna“ używają czasem pierwszorzędni prawnicy, ale mówią oni właściwie nie o ekspertyzie sądowej, a o prawnej ocenie pewnego zjawiska, ocenie odpowiadającej terminom „opinion, consultation, Gutachten“; takie poza-sądowe opinie mogą mieć znaczenie dla sądu, ale nie są to ekspertyzy procesualne.

Dla sądu wszystko co ma na celu wyjaśnienie nie dowodów, a pewnych pojęć specjalnych, związanych mniej lub więcej pośrednio z normą decydująca, jest także tylko norma, której znaczenie on sam ostatecznie ustala. Charakter moich uwag, jako słowa wstępnego, wyklucza możliwość dłuższych wyjaśnień.

Co do samej treści ekspertyzy w sprawie Karnickiego, upatruję grzech śmiertelny w następującej konjunkturze, która wytworzyła się na rozprawie, i prawdopodobnie wywarła pewien wpływ na wyrok.

Sądzono Karnickiego, wynikała kwesta wyższej konieczności, (art. 45, 46, względnie 459 K. K.), która spowodowała strzał z jego strony. Co mówi nam prof. Wróblewski, przedstawiciel nauki prawa karnego, który jakkolwiek wyjaśnia sądowi kodeksy honorowe w centrum swojej opinii, wysuwa jednocześnie pojęcie wyższej konieczności, ale nie co do oskarżonego, a co do świadka (!), i to ze stanowiska „Kodeksu Honorowego“. Ale kogo to może obchodzić wogóle (oprócz niedoszłych pojedyńkowiczów) a szczególnie sąd. On i tylko on obowiązany jest, z kodeksem karnym w ręku, znać pojęcie prawne wyższej konieczności i badać tę kwestę tylko co do osoby oskarżonego, a nie tworzyć innej „wyższej konieczności“ dla świadka, która znów jest w kolizji z wyższą koniecznością po stronie oskarżonego.

Profesor prawa karnego, biegły do spraw honorowych, okazał się w dwuznacznej pozycji, gdyż logicznie winno było nastąpić rozdwojenie jego umysłowości, (mentalité), spowodowane koniecznością ujęcia podwójnego tego samego zjawiska dla

jednakowego celu, t. j. ekspertyzy. Stało się to w rzeczywistości jeszcze fatalniej: w tezach swoich z dziedziny oceny kodeksów honorowych wkroczył ekspert w dziedzinę psychologii i przytem nie wiadomo jakiej, socjalnej, czy też patologicznej ponieważ opinjować o konieczności psychologicznej napadu, jako wyrazie wyższej konieczności, nie był powołany biegły.

Procedura karna zna specjalistów wedle profesji (art. 326 U. P. K.) a nie specjalistów od wszystkiego, co będzie na sądzie. — Takim „je sais tout“ w dziedzinie prawa jest tylko sąd, który samodzielnie decyduje wszystkie pytania. Ujęcie z punktu widzenia kodeksu karnego tego genetycznego przejścia wyższej konieczności od oskarżonego do świadka ma może znaczenie dla socjologa lub kodyfikatora; ale koncepcja podobna — to owoc zakazany dla sądu, który sądzi oskarżonego z punktu widzenia kodeksu pozytywnego, obowiązującego, a ten zasadniczo odrzuca kodeksy honorowe, jako czynniki przestępstwa, i przeżytki samopomocy anarchistycznej (takie myśli o ile pamiętam, u Worms „Le duel et le Manuels du droit criminel“.

* * *

Jeżeli trudnem — bez legalnego wyjścia procesualnego, było zadanie biegłego, to tem trudniejszym było zadanie obrońcy, który obowiązany był krytykować wywody biegłego i oczyszczać dziwną atmosferę prawną i faktyczną; musiał rąbać materjał, i rąbając nikogo nie zadrasnąć. Mojem zdaniem, wywiązał się mecenas Niedzielski z trudnej pozycji z pewną goryczą chwilami, ale w granicach sądowego umiarkowania, kurtuazji i juris-elegan-

tae. A wszak znajdował się w położeniu tak niebezpiecznym dla oskarżonego, powierzonego jego obrońcy! (rzymski prawnik Celsus, sędze, byłby ostrzejszy). Pięknym jest wreszcie i retorycznie i w samej treści końcowy akord jego mowy pod adresem „Alma Mater“ Wileńskiej, pełny uczucia szczerzej miłości dla młodzieży akademickiej, której przedstawiciela widział z bólem przed sobą w osobie brata niewinnej ofiary.

A co byłoby, gdyby nie było ekspertyzy? Przewodniczący, czując się mocniej, zabroniłby mówić o kodeksach honorowych, ponieważ obowiązany jest przez cały przebieg sprawy śledzić za koncentracją jej na przedmiotach tylko do sprawy należących (art. 611 U. P. K.). Dobrze mówi stara maksyma angielskiego prawa, która jest bardzo wybredna i ma tendencję ograniczenia udziału biegłych w procesie, określając zadanie sędziego:

„Judex habere debet duos sales: (sól — symbol mądrości). Salem sapientiae (wyższy stopień wiedzy oświeconej mądrością), ne sit insipidus (bezzadny).

Salem conscientiae, (oparte na sumieniu uznaniu) ne sit diabolicus“.

Profesor Konrad Dynowski.

W grudniu 1926 r., Warszawa.

W dniach 19 i 20 listopada 1926 r. Sąd Okręgowy w Wilnie rozpoznawał sprawę p. Zygmunta Karnickiego-Smołeńskiego, oskarżonego z art. 458 k. k., to jest o zabójstwo, dokonane pod wpływem silnego wzruszenia duchowego.

Obradom Sądu przewodniczył Sędzia Okręgowy p. Jodziewicz. Oskarżenie popierał podprokurator p. Kowerski. Powództwo cywilne w imieniu matki zabitego Bądzkiewicza popierał adwokaci pp. Petruszewicz i Świda. Oskarżonego bronili adwokaci pp.: Bobiński, Sumorok i Niedzielski.

STAN FAKTYCZNY SPRAWY W ŚWIETLE PRZEWODU SĄDOWEGO.

W dniu 26-go października 1925 roku, w mieszkaniu adwokata Osiecińskiego w Wilnie, toczyła się towarzyska rozmowa pomiędzy pp. Dziedziejewskim, Bagieńskim, Osiecińskim i Karnickim-Smołeńskim. Zaczęto dowcipkować, przyczem żarty przybrały charakter uszczypliwych docinków: P. Karnicki-Smołeński wyraził się między innymi o p. Dziedziejewskim, nawiązując do jego posady administratora dóbr pp. Domeyków, że ma na sobie zbyt obszerną kurtkę skórzaną, którą kupił w tem przewidywaniu, żeby, gdy utyje, nikt nie powiedział, iż utył na Domeykowskim chlebie, oraz że powinien sobie do tej kurtki przymocować jeszcze rzemienie na plecach, by mu łatwiej było nosić akta swoich mocodawców. Ze swej strony

p. Dzierdziejewski oświadczył, że rola picola bardziej odpowiada p. Karnickiemu, jako urzędnikowi bankowemu. Ponadto p. Dzierdziejewski wypowiedział parę docinków na temat błękitnej krwi p. Karnickiego, oraz brzmienia jego nazwiska, które, składane z trzech części, zdaniem jego, nie daje możliwości ustalenia, skąd i od kogo p. Karnicki ród swój wywodzi.

Na drugi dzień p. Karnicki wystosował do p. Dzierdziejewskiego list, w którym szczerze wyjaśnił pochodzenie swego rodu i nazwiska i stwierdził, iż istnieje, jego zdaniem, pewien komiks tak delikatnych pojęć, że żadne w tym względzie docinki i aluzje nie są dopuszczalne, a jeśli ma nie sobie p. Dzierdziejewski pozwolić, to świadczy o tem, iż nietylko przejął on funkcję, ale i manery rządcy majątkowego.

W tym samym dniu wieczorem p. Karnicki zwrócił się do pp. Mięszkowiecza i Grabowskiego z prośbą, by zażądali od p. Dzierdziejewskiego satysfakcji honorowej. Zdarzyło się tak, iż list, napisany przez samego p. Karnickiego, oraz list jego sekundantów z wyzwaniem zostały oddane na pocztę przez służącą jednocześnie i zostały zarejestrowane pod dwoma kolejnymi numerami.

Po otrzymaniu tych listów, p. Dzierdziejewski przez 10 dni zwlekał z wyznaczeniem swoich zastępców honorowych, tłumacząc się niemożnością znalezienia sekundantów, z powodu braku odpowiednich stosunków towarzyskich. W końcu po protestach sekundantów strony przeciwniej, oponujących przeciwko zwłoce w postępowaniu honorowym, mianował swych zastępców w osobach pp. Bagieńskiego i Osiecińskiego, poczem w dniu 12 listopada 1925 roku rokowania honorowe zostały wszczęte. Sekundanci odbyli pięć posiedzeń, których listotna treść przedstawiła się, jak następuje:

I. Za obowiązującą podstawę rokowań honorowych uznano kodeks honorowy Zamoyskiego.

W zaraniu pertraktacji sekundanci p. Dzierdziejewskiego wysunęli dwa zarzuty natury formalnej, — że p. Karnicki wysłał obraźliwy list do p. Dzierdziejewskiego po wyznaczeniu sekundantów, ew. jednocześnie z ich powołaniem i, że sekundanci p. Karnickiego uskuteczniłi wyzwanie p. Dzierdziejewskiego w formie niewłaściwej, bo

pisemnej. W konsekwencji tych zarzutów, nie kwestionując honorowości p. Karnickiego, zażądali poddania pod rozstrzygnięcie sądu honorowego kwestji, czy p. Dzierdziejewski obowiązany jest dać satysfakcję honorową p. Karnickiemu.

II. Sekundanci p. Karnickiego w osobach pp. Grabowskiego i Turskiego, (zastępującego p. Meysztowicza), oświadczyli, że mocodawca ich wysłał swój list dn. 27.X 1925 roku, a ich list został wysłany dn. 28.X 1925 roku, sama zaś ekspedycja tych listów na pocztę nastąpiła jednocześnie wskutek przetrzymania przez służącą pierwszego z listów; że co do takiego chronologicznego ustalenia przebiegu wypadków zastępcom p. Dzierdziejewskiego powinno wystarczyć gentleman'skie oświadczenie sekundantów strony przeciwnej, iż list obraźliwy był wysłany przed ich powołaniem.

Co do drugiego zarzutu strony, reprezentującej p. Dzierdziejewskiego, wskazali przepis, przyjętego przez stronę kodeksu, przewidujący pisemną formę wyzwania.

Przeciwno żądaniu sądu honorowego zaopiniowali, motywując to tem, iż według wszystkich znanych im kodeksów, a Zamoyńskiego w szczególności, sąd honorowy powołuje się o tyle tylko, o ile jedna ze stron podaje w wątpliwość zdolność honorową przeciwnika, co w danej sprawie miejsce nie ma.

III. W tym stanie rzeczy jeden z zastępców p. Dzierdziejewskiego, adw. Osieciński, zrzekł się mandatu, z powodu małego pracy zawodowej, oraz dawnej zażyłości z p. Karnickim, przeciwno któremu nie chciał dalej występować. Mięjsce jego zajął po pewnej przerwie w rokowaniach p. Strumiłło.

W nowym składzie sekundanci p. Dzierdziejewskiego zrzekli się swego żądania sądu honorowego i przystąpiono do ustalenia stanu faktycznego zajścia, jakie miało miejsce między stronami. I w tym jednak przedmiocie zapamiętała różnica zdań, sekundanci bowiem każdej ze stron stan ten odmiennie przedstawiali.

IV. Wskutek daleko posuniętej rozbieżności w tym przedmiocie zastępcy stron zdecydowali odwołać się do orzeczenia sędziego rozjemczego, który, obrany w osobie

Jerzego hr. Hutten-Czapskiego, miał rozstrzygnąć stopień obrazu, jaką każda ze stron odniosła.

V. Przygotowując materiał dla sędziego rozjemczego, sekundantów p. Karnickiego zażądali od swego mocodawcy dokładnego opisu **na piśmie** stanu faktycznego konfliktu. P. Karnicki, czyniąc temu żądaniu zadość, nadał się uprzednio na ręce swych sekundantów list, w którym zapowiadając przedstawienie proszonego opisu zajścia, oświadczył, że oświetlenie zajścia przez sekundanta strony przeciwnej p. Bagieńskiego, świadka rozmowy, będącej powodem sprawy, mija się z prawdziwym stanem rzeczy.

Zastępcy p. Karnickiego odczytali list ten na posiedzeniu sekundantów, czem p. Bagieński poczuł się dotknięty i złożył swój mandat w dniu 26.XI 1925 r.

Dnia 12 grudnia 1925 roku p. Dzierdziejewski za pośrednictwem p. Strumiłły nadał sekundantom p. Karnickiego list, w którym między innymi oświadczył, że nie widzi możliwości mianowania nowych sekundantów, z obawy narażenia ich na niesłuszne przykrości, że jest zmuszony przerwać rokowania honorowe i, że jeśli p. Karnicki nie cofnie swego obraźliwego listu, to będzie on reagował w sposób, jaki uzna za właściwy.

Sekundanci p. Karnickiego w odpowiedzi na to tegoż dnia spisali protokół jednostronny, konkludując: 1. że p. Dzierdziejewski stał się człowiekiem nie honorowym, a więc niezdatnym zarówno do żądania, jak i do udzielenia satysfakcji honorowej i 2. że dana sprawa zlikwidowaną została ku honorowi jedynie tylko p. Karnickiego.

W motywach tego protokołu podpisani sekundanci przytoczyli między innymi okoliczności: że p. Dzierdziejewski zerwał rokowania honorowe bez usprawiedliwiającego powodu; że po ustąpieniu swych reprezentantów nie zamianował nowych, a zwrócił się do sekundantów swego przeciwnika z listem, zawierającym pogroźki i, że w toku postępowania honorowego uchylał się od udzielenia p. Karnickiemu satysfakcji honorowej, wysuwając za pośrednictwem swych zastępców liczne obiektywne i formalne, dopuszczając się zwłoki w postępowaniu honorowym.

Odpis tego jednostronnego protokołu z adresami podpisanych przesłano p. Dzierdziejewskiemu.

Z zeznań zbadanych na przewodzie sądowym zastępców stron między innymi wynika, że pp. Turski i Grabowski pisali protokół jednostronny, bez żadnego udziału Karnickiego, wbrew jego chęci i na swoją własną odpowiedzialność. Ponadto panowie ci przyznają, że pomysłką dążyli do usunięcia p. Bagleńskiego od udziału w sprawie honorowej ze względu na jego wyjątkową nieświadomość co do form i obyczajów, jakie w tych sprawach obowiązują.

P. Bagleński w swoim zeznaniu między innymi wyjaśnił, że sprawa obrazy, jakiej doznał ze strony p. Karnickiego nadawała się wyłącznie do zaskarżenia przed sądem pokoju, jednakże zeznający narazie puścił tę znie wagę płazem.

W tym stanie rzeczy dnia 25-go stycznia 1926 roku p. Dzierdziejewski przystąpił do rozprawienia się z Karnickim „meksykańskim sposobem“. Poszukując w dniu tym spotkania z p. Karnickim, był w asystencji dwóch rodzonych sióstrzeńców, studentów uniwersytetu, braci Władysława i Józefa Bądzkiewiczów. P. Dzierdziejewski miał przy sobie łaskę bambusową i automatyczny pistolet. Bracia Bądzkiewicze, według słów p. Dzierdziejewskiego, nie byli wtajemniczeni w istotny cel wyprawy, gdyż p. Dzierdziejewski powiedział im, że ma się spotkać z jednym panem, do którego powie „parę słów“.

Zadaniem studentów rzekomo miało być danie świadectwa prawdziwe, o ile tego by zasza potrzeba, co do przebiegu wypadków, oraz interwencja czynna, o ileby po wypowiedzeniu przez p. Dzierdziejewskiego zamierzonych słów, tamten pan rzucił się na niego.

Spotkanie nastąpiło przy ulicy Jagiellońskiej w pobliżu mieszkania Karnickiego, o zmroku, na dziesięć minut przed zachodem słońca. Co do przebiegu starcia zeznała uczestników są dosyć sprzeczne.

P. P. Dzierdziejewski i Bądzkiewicz twierdzą, że pierwsze uderzenie było wymierzone Karnickiemu pięścią w twarz, poczem Karnicki strzelił, wskutek czego p. Dzierdziejewski zmuszony był uderzyć go kilkakrotnie

łaską po rękę i głowę, celem wytrącenia broni, a w następstwie sam zaczął strzelać.

P. Karnicki twierdzi, że uderzenia ręką wcale nie było, a odrazu posypały się ciosy z siłą zadane kijem, po czem jednocześnie zostały dobyte rewolwery przez niego i Dzierdziejewskiego i padły dwa strzały po jednym z każdej strony, a następnie, gdy rewolwer Karnickiego po pierwszym strzale się zaciął, Dzierdziejewski doń strzelił dwukrotnie.

Po za wszelkim sporem pozostają fakty następujące:

a) że strzelał zarówno p. Karnicki, jak i p. Dzierdziejewski;

b) że na miejscu starcia znalezione trzy łuski od rewolwera p. Dzierdziejewskiego i jedna od rewolwera p. Karnickiego;

c) że obaj strzelający mieli przestrzebrane ubrania;

d) że po oddaniu strzału czy też strzałowi Karnicki cofnął się do swego mieszkania, Dzierdziejewski nachlewał nań w dalszym ciągu, ponlechał zaś dalszej walki pod wpływem krzyku Władysława Bądzkiewiczia.

Rezultatem stancja był tem, iż Janusz Bądzkiewicz został ugodzony kulą w pierze i padł trupem na miejscu.

* * *

Co do osoby oskarżonego, przewód sądowy dostarczył następujących danych:

Świadczenie odwołowli Dyrektor Banku Ziemiańskiego p. Świątecki, hr. Jerzy Hutten-Czapski i im. wydzali o oskarżonym Karnickim jaknajpochlebniejszą opinię.

Ze złożonych do akt sprawy świadectw lekarskich i zeznań świadków wynika, że Karnicki cierpi na ciężką formę neurastenji, że jest dotknięty poważnem cierpieniem — leukemją, — wreszcie, że ma w znacznym stopniu upośledzony wzrok i słuch.

* * *

W końcu przewodn sądowego Sąd Okręgowy przystąpił do wysłuchania biegłych. Biegły rusznikarz oświadczył, iż kurtka na ramieniu p. Dzierdziejewskiego mogła być przeszyta tym samym strzałem, którym został zabity ś. p. Janusz Bądzkiewicz.

Biegły lekarz prof. Uniwersytetu Siengale wicz stwierdził, iż postrzał, jakiego doznał nieboszczyk, należy do

kategorię bezwarunkowo śmiertelnych. Co do charakteru uszkodzeń, jakie były ujawnione na twarzy, głowie i rękach Karnickiego, bezpośrednio po wypadku, to te pochodzą, zdaniem p. biegłego, od wielokrotnych uderzeń jakimś tępym narzędziem.

W końcu zabnął głos biegły do spraw honorowych, prof. Wróblewski, i oznajmił na wstępie, iż takie postępowanie honorowe w sprawie mniejszej wywierni mań wrażenie ujemne. Na wrażenie to składa się w pierwszym rzędzie kilka fatalnych zbiegów okoliczności, które poważnie zakłóciły tok postępowania honorowego. Do takich powikłań należy jednoczesne wysłanie do p. Dzieńdziejewskiego dwóch listów, jednego obrażającego i drugiego, zawierającego żądanie satysfakcji honorowej.

Drugim takim ujemnym czynnikiem była parokrotna zmiana sekundantów, która jest zjawiskiem w postępowaniu honorowym nadzwyczajnie rzadkiem i wyjątkowym, oraz w wysokim stopniu utrudnia postępowanie honorowe, gdyż normalny tok tego postępowania gwarantuje tyłko udział tych samych osób od początku do końca. Wreszcie prof. Wróblewski uważa, iż wotum nieufności, jakie wyraził p. Karnicki pod adresem sekundanta strony przeciwnej p. Bagieńskiego, wypadło w nadmiar krytycznym i nieodpowiednim momencie, kiedy zdawało się, że strony przy pomocy uproszonego hr. Czapskiego będą mogły dojść do porozumienia.

Ponadto prof. Wróblewski wypowiedział (częściowo w odpowiedzi na pytania stron) teży następujące:

1) że przepisy kodeksu honorowego, który jest dobrowolnie przez strony obrany, mają bezwzględnie obowiązujące znaczenie;

2) że chociaż obrany w danym wypadku kodeks Zamoyńskiego nie przewiduje powoływania sądów honorowych dla rozstrzygnięcia takich incydentalnych sporów, jak ten, który powstał na początku sprawy mniejszej, to jednak przy dobrej woli stron, można było uciec się do arbitrażu osób trzecich, któreby spór rozstrzygnęły;

3) że niewzruszoną zasadą w postępowaniu honorowym jest, iż za wszelkie dokonane w toku postępowanie posunięcia są odpowiedzialne nie strony, a sekundanci stron, którym ich pańkanci udzieliłi plain pouvoir;

4) że ze stanowiska psychologicznego napad, dokonany przez Dzierdziejewskiego na Karnickiego, jest usprawiedliwionym aktem czynnej reakcji ze strony jednostki ekspansywnej, postawionej w pozycji człowieka zdyskwalifikowanego honorowo;

5) że akt tej reakcji z tegoż stanowiska psychologicznego słusznie został skierowany na osobę Karnickiego, jako na osobę zajmującą „centralne” stanowisko w całym zatargu, a to tem bardziej, że p. Dzierdziejewski, nie znając się dobrze na postępowaniu honorowym, mógł mieć, że za sporządzenie jednostronnego protokołu jest odpowiedzialna strona przeciwna, a nie jej sekundanci;

6) że czyn Dzierdziejewskiego ze stanowiska prawnego winien być zdefiniowany jako czyn spełniony w stanie wyższej konieczności;

7) że chociaż napad został dokonany przy udziale trzech osób, tem niemniej winien być zakwalifikowany jako zmiewaga czynna, jako policzek;

8) że czyn ten nie straciłby charakteru znieuwagi czynnej, policzka, gdyby był spełniony nawet przy udziale dziesięciu osób, uzbrojonych w karabini maszynowy.



MOWA ADW. MARJANA NIEDZIELSKIEGO

Sprawa honorowa... Kodeks Honorowy... Kodeks Zamoyskiego, Boziewiczza, Pomiana to są kategorie, któremi przez dwa dni zmuszeni byliśmy myśleć, to są terminy, którymi operują strony, świadkowie i biegły... Wydaje mi się jednak, że jesteśmy na nieco fałszywej drodze, wczytując się jeno w martwe formułki tych trzech książeczek, napisanych przez nam współczesnych ludzi. Wydaje mi się, że nie sposób jest wtłoczyć całego głębokiego zagadnienia honoru ludzkiego w ciasne ramki tych trzech formularzy, dających nieraz sprzeczne wskazówki, jak honoru ludzkiego bronić należy.

Bo jeżeli chodzi o prawdziwy i najbardziej miarodajny Kodeks Honorowy, to ten był pisany nie piórem, a mieczem. Był pisany nie na pergaminach i nie w książkach, a był pisany w dziejach narodów i w sercach rycerzy.

Pisał go Cyrano de Bergerac, który się nigdy nie zastrzelał gromadą, szukając starcia sam na sam z najniebezpieczniejszym przeciwnikiem po to, by owoce swych świetnych zwycięstw wspaniałomyślnie oddać komu innemu...

Pisał go kawaler de Grioux, który, szalejąc z miłości dla Manon, nie wahał się dać swojemu

szcześliwemu współzawodnikowi takich przywilei w walce na szpady, iż omal nie przyplącił ich utratą życia i ukochania...

Pisał go Wołodyjowski, skory zawsze do wystąpienia przed szeregi zbrojnego hufca, by skrzyżować broń z wrogiem.

Pisał Pan Tadeusz, wyzywając na udeptaną ziemię Majora i dając mu wybór broni „od działa do szpilki“...

Pisał Hrabia, stawiający czoła Rykowi, a lekceważący zaczajoną zradę...

To ci autorowie zostawili nam w dziedzictwie takie honorowe przepisy, które nie są uwidocznione w żadnej z broszur tę sprawę traktujących, że pierwszym warunkiem rycerskości jest przekładanie honoru nad życie, jest osobista odwaga w słowie i czynie, jest uczciwość w zbrojnej walce, która piętnuje imieniem jaknajwiększej hańby wszelki podstęp, gwałt bezprawny, wszelkie działanie kupą przeciwko jednemu.

...Na tle tych rozważań godzi się zastanowić w pierwszym rzędzie, czy jest możliwym dokonywanie przez biegłego ekspertyzy w sprawach ludzkiego honoru, czy jest zwłaszcza powołanym do rozstrzygania tych kwestji człowiek biegły w nauce prawa pisanego, który jest do tej sali przez Sąd wezwany?

Wydaje mi się, iż najwyższym sędzią w sprawach honoru jest „tylko ten sam człowiek, którego godność osobistą pogwałcono. W pewnych warunkach człowiek ten z dobrej woli przekazuje pełnię praw orzekania i decyzji w sprawie honorowej

innym ludziom, ale to tym tylko, do których ma osobiste, a bezgraniczne zaufanie.

Gdyby więc miał to być superarbitr, powołany nie przez strony interesowane, ale z urzędu, superarbitr, któryby w ostatniej instancji miał orzec, czy mój honor poniósł szwank, czy też żadna mu się krzywda nie dzieje — to musiałaby to być jednostka o zgoła wyjątkowych kwalifikacjach, obleczone pełnią publicznego zaufania. Nie mógłby być tym superarbitrem ani żaden przeciętny nieposzlakowany obywatel, ani profesor, ani też uczonec.

Mógłby nim być tylko mąż, który w zrozumieniu całej powszechności jest spadkobiercą świetnych tradycji rycerskich, jakimi się chlubi nasza historia. W tej myśli przyznałibyśmy bez żadnych zastrzeżeń prawo decydującego głosu oficerowi armii polskiej, który w bohaterskiej walce o odzyskanie Ojczyzny położył niepospolite zasługi i ma dziś pierś ozdobioną czterema krzyżami Virtuti Militari...

Gdybyśmy atoli szukali takiego arbitra w szeregach prywatnych obywateli, to tylko jednomyślny wybór przez plebiscyt, mógłby mu udzielić wysokiego mandatu wypowiedzenia sądu, któryby obowiązywał i strony zwaśnione, i Sąd Koronny i społeczeństwo. Byłby to tak wysoki dygnitarz w społeczeństwie, iż musiałby w pojęciu ogółu zająć miejsce równe Marszałkom Sejmu i Senatu.

Tymczasem powołano na tego eksperta, a temsamem superarbitra w sprawach honorowych profesora prawa karnego, to jest przedstawiciela tej nauki, która jest najmniej kompetentną w rozstrzyganiu subtelnych sporów natury honorowej. Czy

można sobie wyobrazić dwie bardziej rozbieżne dziedziny życia, niż te, które są objęte kodeksem karnym i kodeksem honorowym? Pierwszy jest stworzony dla gwałcicieli prawa, wyrzutków społeczeństwa, anarchistów, nie mogących się pogodzić z istniejącym ustrojem społecznym i uszamać praw boskich ni ludzkich; jest twardym pancerzem, chroniącym dorobek kulturalny przed zamachami ze strony zbrodniarzy. Drugi zaś — jest stworzony dla elity społeczeństwa, dla ludzi o najbardziej wysubtelniomem poczuciu etyki i honoru, a to celem zabezpieczenia tej subtelnej materji od najmniejszych zamachów ze strony bliźniego, znajdującego się również na wysokim poziomie kulturalnego i etycznego rozwoju.

Dwa bieguny. Niebo i ziemia...

A nie mówię już o tem, iż w przebiegu kształtowania się pojęć prawnych i kystalizowania nowoczesnych form wymiaru sprawiedliwości, między kodeksem karnym a kodeksem honorowym istniał zawsze antagonizm, istniała poważna emulacja, gdyż każdy z tych kodeksów rościł sobie prawa do rozstrzygania pewnych kategorii ludzkich zatargów w sposób sobie tylko właściwy. I czy można sobie wyobrazić bardziej znamienne ukoronowanie tego antagonizmu jak fakt, iż pojedynek, który stanowi klasyczny sposób nieskazitelnego załatwienia sporu na drodze honorowej, jest z punktu widzenia kodeksu karnego przestępstwem, za które się wtrąca do więzienia.

To też uważam za wielki i zasadniczy błąd powołanie do sprawy niniejszej biegłego w osobie prof. Wróblewskiego, gdyż, w niczem nie uwłaczając jego kwalifikacjom jako człowieka i uczonego

go, stwierdzić wypada, że nie posiada jego autorytet w sprawach honorowych żadnych danych, któreby miały zeń uczynić wyrocznię. Panowie Sędziowie, którzy będą wyrokować w sprawie, po zorientowaniu się w całej zawiłanej sieci honorowego sporu, także są prawnikami i znawcami prawa kryminalnego. Jednakże wcale nie dlatego mamy zupełne zaufanie do ich dojrzałego i wytrawnego sądu o sprawie honorowej, że tę specjalną wiedzę posiadają, ale dlatego, iż są ludźmi obleczonymi pełnią zaufania przez Państwo i posiadają wysoką powagę, jaką jest otoczony Sąd Rzeczypospolitej w całym społeczeństwie polskim.

* * *

Jest to właściwością każdego błędu, iż się sam w sobie nie kończy, a pociąga za sobą szereg innych. To też błąd powołania do sprawy niniejszej eksperta do spraw honorowych wogóle, a profesora kryminologii w szczególności, doprowadził w swoim rezultacie do wyniku, jakiego nie znało sądownictwo polskie od czasu swego istnienia: oto biegły prof. Wróblewski orzekł, iż napad dokonany przez p. Dziendziejewskiego na p. Karnickiego jest rzeczą „psychologicznie usprawiedliwioną“ i jest „wyższą koniecznością“.

Napad we trzech na jednego człowieka, jako „wyższa konieczność“, jako jakiś wyższy nakaz, wszak to coś wprost niebywałego! Rozgrzeszenie grubej zorganizowanej siły, rozgrzeszenie aktu przemocy, opartego na zimnem obrachowaniu przewagi pięści i kija! I to ma być sposób zadośćuczynienia honorowego! Gdzież tu jest choć źdźbło tego, co w tradycjach honorowych odgrywało zawsze pierwszorzędną rolę: element osobistej odwa-

gi, osobistego ryzyka, równości szans, element, który mógłby być jedynym, bardzo względnym zresztą usprawiedliwieniem zamachu zbrojnego, dokonanego na innego człowieka.

„To jest psychologicznie usprawiedliwione“, powiada biegły pan profesor. A gdzież jest granica tego psychologicznie usprawiedliwionego gwałtu? Jeżeli w oczach pana profesora ani działanie we 3-ch, ani kij w rękę, ani automatyczny pistolet, gotowy do strzału w kieszeni, nie pozbawia czynu pana Dzierdziejewskiego cech honorowego odwetu, to, na miły Bóg! wszak, rozwijając tę teorię do końca, dojdziemy do rozgrzeszenia i takiego człowieka, który w odwecie za rzeczywistą lub domniemaną zniewagę, wali swego przeciwnika kamieniem w łeb z za węgla, albo majchrem wypruwa mu kichy...

O! jakżeby każdy obrońca karny pragnął mieć pana profesora jako eksperta, w chwili, kiedy broni najcięższego zbrodniarza, ubiegając się o złagodzenie mu przewidzianej przez prawo surowej kary! Jakże zbawienną dla obrony byłaby „psychologiczna“ teoria przestępnego czynu. To takie wdzięczne zadanie odtworzyć przed Sądem psychologiczne pobudki, które kierowały czynami zbrodniarza. Wszak ta namiętność, ta pokusa pchająca człowieka do występnego czynu, tak jaskrawo i dosadnie przejawia się wówczas w duszy ludzkiej: człowiek, który za chwilę stanie się mordercą dla osiągnięcia materialnej korzyści, jest tak niepodzielnie opętany przez dobrze znana ludzkości od stworzenia świata chciwość; człowiek, który dokonuje gwałtu na nieletniej dziewczynie, jest takim klasycznym wzorem ludzkiego tworu, po-

chloniętego przez namiętą chuć... Cóż za ciekawa okazja dla studjów psychologicznych! Co za wysokie napięcie jednolitego nastroju! Co za wspa-
niałe unisono między pobudką a czynem! A jednak, czy komukolwiek bądź z pośród nas przyjdzie do głowy rozgrzeszać czyn zbrodniczy dlatego tjeno, że znajduje on zupełne wytłómaczenie w psycholo-
gji danego człowieka. Oczywiście — że nie. Sprze-
ciwiał się temu i prawo pisane i prawo moralne.

Oto dlaczego nie mogę się zgodzić na *psycho-
logiczną* teorię pana prof. Wróblewskiego i będę stanowczo obstawał przy swoim, iż napad rwe trzech na jednego, z bronią, jest ohydą, a że był dokonany w imię honoru — jest ohydą tem wię-
kszą.

Tu jestem u kresu moich rozważań co do eks-
pertyzy, i czuję się uprawnionym powiedzieć, że konkluzja wywodów p. prof. Wróblewskiego nie godzi się z duchem naszej honorowej spuścizny. Dlatego nie mogę tej opinii uznać za miarodajną i odrzucam ją w całości.

* * *

W myśl tych przesłanek przechodzę, Panowie Sędziowie, wprost do sprawy honorowej pp. Kar-
nickiego - Smoleńskiego i Dzierdziejewskiego, by poczynić z niej należyte wnioski, na zasadzie tych wymownych faktów, które same za siebie mówią. A będzie mi w tej analizie przyświecać jedna myśl: by nie lekceważyć sobie dumy i godności własnej żadnej ze stron, by ani przez chwilę nie być w po-
łożeniu człowieka, o którym poeta powiedział, że
...twoje serce poczciwe nie umie
„Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie“...

A więc wezmę te zniewagi, które sobie strony wzajem uczyniły, przyjrę się im uważnie i zastanowię, czy dwumiesięczne bezpłodne honorowe postępowanie uczyniło coś dla ukojenia obrażonej dumy, czy też bardziej jeszcze rozkrwawiło zadane sobie przez przeciwników moralne urazy?

Zaczął się od żartów: Pan Dzierdziejewski pozwolił sobie na parę docinków na temat brzmienia nazwiska p. Karnickiego, p. Karnicki odpowiedział uszczypliwym żartem, iż p. Dzierdziejewski kupił sobie kurtkę zbyt obszerną w nadziei na utuczenie się Domeykowskim chlebem. Potem idzie parę kalamburów na temat zabarwienia krwi, jakiś jeszcze dowcip, komu bardziej przystoi rola „piccola“.

Nikt nie może zaprzeczyć, że wszelkie drwiny, dotyczące rodzinnego nazwiska, czy klejnotu, odziedziczonego po sławnych przodkach, są w naszym kraju wyjątkowo źle widziane. Bo jednak polak ma to do siebie, iż ten herb rodzinny, widoczny na niebieskiem, czy też purpurowem polu, wyjątkowo sobie ceni; a jest w tem ta dobra strona, iż niejeden polak niejednego dobrego czynu dokonał tylko dlatego, by tej tarczy herbowej nie splamić, by jej splendoru przysporzyć. I nie dziwota! Bo klejnot rodzinny dziedziczy się „po mieczu“, po tym mieczu,

Którego żaden nie splamił zbójcecki uczynek,
Tylko otwartą wojna, albo pojedynek...

Można się spierać o stopień napięcia złej woli ze strony p. Dzierdziejewskiego, ale każdy musi przyznać to jedno, że w zasadzie p. Karnicki miał kompletną słuszość.

Pozatem zresztą kwestja tej zniewagi została

w zupełności zlikwidowana, gdyż satysfakcję p. Karnicki uzyskał przez solenne, a protokólne stwierdzenie jego honorowych zastępców, iż sprawa została dla p. Karnickiego w sposób honorowy załatwiona.

Daleko bardziej zawile były dalsze fazy, przez jakie przechodziła obrażona duma p. Dzierdziejewskiego: do początkowej złośliwości p. Karnickiego, na którą, nawiasem mówiąc, p. Dzierdziejewski wcale nie reagował, i według własnego przyznania, reagować nie zamierzał, przyłączyła się nowa zniewaga, zawarta w liście p. Karnickiego z dn. 27 października, w którym p. Dzierdziejewskiemu wytknięto „maniery“, godne „rządcy majątkowego“. Zestawiając tę nową okoliczność z poprzednio wypowiedzianym przez p. Karnickiego uszczypliwym żartem, musimy stwierdzić, iż wszystko to obraca się dookoła jednego, drażliwego zresztą dla p. Dzierdziejewskiego tematu, mianowicie objęcia posady u obcych, po utracie własnego majątku ziemskiego. Temat niewątpliwie przykry, jednakże element zniewagi jest tutaj naprawdę nadzwyczaj nikły.

A czy się w trakcie postępowania honorowego obraza pogłębiła, czy się dołączył jakiś postępek p. Karnickiego, któryby godził w cześć i dobre imię p. Dzierdziejewskiego?

Nie! Nic podobnego! Zarzuca strona przeciwna p. Karnickiemu, iż wysłał list obrażający jednocześnie, albo prawie jednocześnie z powołaniem sekundantów. A któż o to może mieć do p. Karnickiego żal? Zdaje się nikt inny, jeno jego sekundanci. Mogli mu powiedzieć: „Oddałeś w nasze ręce swój

honor, toś nie powinien był utrudniać mam zadania“. Ale sekundanci milczą, nie mają do swego paukanta żadnej pretensji, wręcz przeciwnie: stwierdzają, iż o wysłaniu listu byli najdokładniej poinformowani, i że list ten był wysłany przed podjęciem przez sekundantów swych odpowiedzialnych funkcji.

Dopatruje się dalej p. Dzierdziejewski ciężkiej zniewagi w tem, iż p. Karnicki zakwestjonował prawdę i słuszność sekundanta swego przeciwnika, p. Bagieńskiego. Ale i tu p. Dzierdziejewski nie ma racji: bo wszak zarzut nieprawdomówności pod adresem p. Bagieńskiego w niczem nie uwłacza p. Dzierdziejewskiemu. Mógłby się obrazić tylko p. Bagieński, który jest człowiekiem dorosłym i samodzielnym. Ale p. Bagieński nie obraził się. Skorzystal wprawdzie z okazji, by zrezygnować z mandatu sekundanta, ale nie żądał od p. Karnickiego żadnej satysfakcji, ani na drodze honorowej, ani sądowej. Jak sam tutaj nam powiedział, puścił to płazem, gdyż to był pierwszy raz. Gdyby się coś podobnego powtórzyło w przyszłości, toby wtedy niechybnie zaskarżył p. Karnickiego do sądu pokoju. Trzeba, nawiasem stwierdzić, iż p. Bagieński zupełnie słusznie nie reagował, a dlatego tak twierdzę, iż zarzut był postawiony przez samego p. Karnickiego w sposób nadzwyczaj ogólny i subtelny. O tem, że zeznania p. Bagieńskiego mijają się z prawdą, p. Karnicki napisał tylko w liście zupełnie prywatnym, adresowanym do swych sekundantów, zaś pro foro externo doręczył swym zastępcom inne pismo, które nie zawierało zarzutu kłamstwa pod adresem p. Bagieńskiego, obejmując jeno obiektywny opis przebiegu krytycz-

nej rozmowy z p. Dzierdziejewskim, tak jak ją p. Karnicki rozumiał i pamiętał.

Jeżeli więc mógł się uczuć obrażonym p. Bagiński, co w rzeczywistości nie miało miejsca, to tylko wskutek tego, że sekundanci p. Karnickiego odczytali przy nim list do prywatnego użytku przeznaczony, bez wiedzy i upoważnienia p. Karnickiego. W ten sposób p. Karnicki nie był w najmniejszej mierze winnym obrazy osobistej bezpośrednio zainteresowanego p. Bagińskiego; a gdzież tu jest miejsce na obrazę p. Dzierdziejewskiego, o którym nikt wówczas nie mówił i nie myślał nawet.

Wreszcie ostatnie crimen — spisanie protokołu jednostronnego. Czy może ten fakt obciążyć p. Karnickiego? Oczywiście, że nie. Sekundanci p. Karnickiego, którzy byli autorami jednostronnego protokołu, zeznali, iż pisali go samodzielnie, w pełnem poczuciu odpowiedzialności, jaką na siebie ściągają, bez żadnego udziału, a nawet ku niezadowolaniu p. Karnickiego. Niezależnie od tak dobitnych oświadczeń, nawet biegły p. prof. Wróblewski przyznał, iż w myśl zasad postępowania honorowego za protokół jednostronny nie odpowiada nikt inny, jak tylko sami sekundanci.

Któż w tych warunkach odważy się uczynić Karnickiego odpowiedzialnym za to, iż ten protokół został wogóle sporządzony, a w szczególności, iż tkwiła w nim nieprzewidziana rzekomo przez kodeks honorowy klauzula o dyskwalifikacji honorowej p. Dzierdziejewskiego.

A więc, Panowie Sędziowie, w toku postępowania honorowego p. Karnicki niczem p. Dzierdziejewskiego nie obraził, w niczem obraży z dnia 26 i 27 października nie pogłębił, ani też rozszerzył.

*

*

*

Pozostaje zastanowić się nad jeszcze jednym pytaniem: Czy miał p. Dzierdziejewski słuszne podstawy, by żywić śmiertelną żal do p. Karnickiego za zerwanie rokowań honorowych? Przyznam się, że zupełnie nie rozumiem skąd ta dziwna pretensja: postępowanie honorowe zostało wszczęte z inicjatywy p. Karnickiego, miało na celu dochodzenie li tylko tych krzywd, których doznał p. Karnicki. Bo p. Dzierdziejewski na te niby ciężkie zniewagi, jakich doznał od p. Karnickiego w dn. 26 i 27 października nie reagował ani w 24, ani w 48 godzin, a na wyzwanie strony przeciwnej wyznaczył zastępców po 10-ciu dniach, przytaczając dziś wśród szeregu motywów także i ten, iż całą tę sprawę uważał za błahą. Dopiero w toku akcji p. Dzierdziejewski upomniał się o swą krzywdę w formie, jak się sam wyraził „powództwa wzajemnego“. Dla uszu każdego prawnika to jest już przyznanie bardzo znamienne, ale ja twierdzę, iż to było jeszcze mniej, niż „wzajemne powództwo“, to była po prostu pewna esksepcja, najwyżej pewien merytoryczny zarzut, oto taki, jaki jest przewidziany w art. 366 Ustawy postępowania cywilnego. „Jabym ci nawet gotów przyznać słuszność twojej pretensji“, powiada częstokroć pozwany do powoda, ale ty mi jesteś także coś winien, to też ja spełnię czego żadasz, ale pod tym koniecznym warunkiem, że i ty mi swój dług zapłacisz. „Ja cię przeproszę za zniewagę, ale ty cofnij swój list“. Zupełnie takie postawienie sprawy, jak przed cywilnym sądem, albo nawet handlowym. „Ja Ci żadaną sumę zapłacę, ale wprzód oddaj mi towar“. Wszak zgodzicie się, Panowie Sędziowie, że tak właśnie sprawa wygląda na tle oświadczenia pana

Dzierdziejewskiego, iż zgłosił w sprawie honorowej akcję wzajemną. Czyż nie mam racji, iż w tych warunkach cała sprawa, powstała i toczyła się z inicjatywy i w interesie p. Karnickiego, że pretensje p. Dzierdziejewskiego miały tu tylko akcesoryjne znaczenie. A więc skądże potem ten straszny gniew p. Dzierdziejewskiego, iż sprawa honorowa nie została doprowadzona do merytorycznego rozstrzygnięcia. Toć to sprawa cudza! Nie godzi zaiste z logiką i zdrowym rozsądkiem, aby p. Dzierdziejewski miał rozdzierać szaty nad tem, iż p. Karnicki swojej i przez siebie wszczętej sprawy nie zdołał doprowadzić do ostatecznego końca.

Reasumując powyższe wywody, pragnę zestawić bilans tych moralnych szkód, z jakimi p. Dzierdziejewski rzekomo wyszedł z postępowania honorowego. Twierdzę, iż równają się one zeru. Nikt i niczem p. Dzierdziejewskiego w trakcie postępowania honorowego nie ukrzywdził, i wyszedł on po 2-ch miesiącach jałowych rozmów in statu quo ante w najściślejszem tych słów znaczeniu, wyszedł z gorzką, lecz wcale nie tragiczną, złagodzoną przytem wpływem czasu reminiscencją, iż mu śmiano wytknąć zbyt obszerną kurtkę skórzaną i tytuł „majątkowego rządcy“.

Dla tych to zniewag, po upływie długiego czasu p. Dzierdziejewski postanowił szukać krwawego i zbrojnego odwetu. Niechże osądzą Panowie Sędziowie, ile w tem było słuszności.

*

Ale ponadto ja mam bardzo poważne podstawy do twierdzenia, że zarówno p. Dzierdziejewski, tak też i jego sekundant p. Bagieński poczuli się dopiero zupełnie dobrze po zerwaniu ro-

kowań honorowych, po zżuceniu pęt kodeksu honorowego. Wszak p. Bagieński, w którego ręce p. Dzierdziejewski złożył sprawę swojego honoru, wogóle żadnego postępowania honorowego nie uznawał, a to zarówno w stosunku do osób trzecich, jak i siebie samego. W rzeczy samej, jeszcze na samym progu konfliktu, gdy się nie rozpętały jeszcze namiętności, tak jak później, p. Bagieński, natychmiast po otrzymaniu listu p. Karnickiego z dnia 27 października, wypowiedział w stanowczej formie swój pogląd, jak te sprawy załatwić należy: tu trzeba bić, bić mocno, bić pięściami, bić kijem. A kiedy później sam został rzekomo znieważony przez zarzut kłamstwa, postanowił wyczekać, rezerwując sobie na przyszłość prawo zaskarżenia do sądu. No i niech że kto powie, czy z tego rodzaju poglądami na likwidację zatargów o zniewagę czci można się czuć swojsko w granicach jakiegokolwiek bądź kodeksu honorowego.

A jeszcze jedno świadectwo: ma cóż to się użalali pp. Dzierdziejewski i Bagieński w trakcie honorowych rokowań? przede wszystkim, na ścisłe stosowanie kodeksu honorowego przez przeciwną stronę, na „profesjonalizm kodeksowy“, jak się wyraził p. Dzierdziejewski.

Tak jest, dzień zerwania rokowań, dzień, w którym p. Dzierdziejewski kategorycznie oświadczył, że nowego sekundanta na miejsce ustępującego p. Bagieńskiego nie wyznaczy, był dniem wyzwolenia dla tych panów, dniem, kiedy odetchnęli swobodnie, i kiedy odzyskali zasuspendowaną na dwa miesiące możliwość takiej rozprawy, jaka najbardziej ich upodobaniom odpowia-

dała, a była już przez p. Bagieńskiego zapowiedziana w samym zaraniu wypadków.

*

Trzeba przyznać, że koncepcję p. Bagieńskiego p. Dzierdziejewski bardzo rozwinął i pogłębił. Przejawszy się myślą dokonania odwetu według, jak sam to nazywa, „meksykańskiej“ metody, zorganizował rzecz cała z taką premedytacją i z takim drobiazgowym wykończeniem w każdym szczególe, iż nie mogę się oprzeć myśli, że snąc istnieje jakiś Meksykański honorowy kodeks, który każdy szczegół przewidział i przesądził, a który przez p. Dzierdziejewskiego najstaranniej został przestudjowany.

Tak jakbym widział przed sobą tę księgę otwartą:

Artykuł pierwszy: o sposobie poszukiwania satysfakcji honorowej przewiduje jedno tylko zasadnicze wyjście: napaść i bić. Napaść na swego przeciwnika znienacka i bić długo i mocno.

Teren walki: ulica, o ile możliwości pusta i odludna.

Czas spotkania: najlepiej noc, w ostatecznym wypadku o zmroku, a w każdym razie w okresie, gdy się najmniej niepowołanych ludzi w pobliżu znajduje.

Rodzaj broni: kij bambusowy o średnicy nie mniej niż 4 cm., luźnie zawieszony na guziku, by go każdej chwili można puścić w ruch: w kieszeni lub pod połą—rewolwer, może być Mauser, Browning, w najgorszym razie i system inny, byle automatyczny, szybkostrzelny...

Ale najciekawszym i najbardziej odmiennym od europejskich pojęć jest rozdział meksykań-

skiego kodeksu o sekundantach. Stoi w nim jasno i dobitnie napisane: poszukujący satysfakcji humorowej może mieć sekundantów w liczbie od 2-ch do 10-ciu, w wyjątkowych wypadkach można i więcej. Wiek: od 20 do 30 lat. Mogą być i starsi, o ile się zajmowali sportem i treningiem. Stronie przeciwnej nie przysługuje prawo jakiegokolwiek asysty.

Skąd się sekundanci rekrutują? Najlepiej posłać na przedmieście i tam wynająć odpowiednich ludzi za pieniądze: ale to ma swoje poważne niedogodności, bo to najprzód niepotrzebny wydatek; przytem później w krytycznej chwili mogą zdradzić i przejść do przeciwnej strony. A ta nieznośna możliwość szantażu, to żądanie ciągłych dopłat...

Z tych względów doradza się raczej szukać sekundantów w rodzinie, najlepiej wśród najbliższej. To jest przede wszystkim taniej, bo oparte nie na chęci zysku, a na uczuciach rodzinnych. Najwyżej należy uczynić jakiś gest towarzyskiej uprzejmości, na przykład bilet do teatru, czy coś w tym rodzaju. Nie mogą to być wyrostki, ci mało warti, bo nie mają dość mocnych bicepsów i pięści. Nie mogą to być również starsi, bo ci są za mądrzy i nie dadzą się wziąć na kawał.

Złoty środek najlepszy. Ktoś, kto już jest dorosły, a jeszcze nie ma żadnego życiowego doświadczenia. Zresztą można im nie wyjawiać istotnych celów wyprawy, można powiedzieć, że mam się spotkać „z jednym panem i powiedzieć mu parę słów, wy będziecie interwenjować, o ile tamtenby się rzucił“. Młodzież łatwowierna jest.

Jeszcze jedna przestroga: gdy będziesz zapraszał takich młodocianych sekundantów, dawaj

baczenie, by to były sieroty, a w każdym razie by nie miały ojca, bo już ojcowie mają to do siebie, że za podobne wciągnięcie syna do meksykańskiej honorowej rozprawy potrafią czasem powiedzieć dużo rzeczy bardzo, ale to bardzo przykrych, a czasami nawet tragicznych.

Nemniej autor meksykańskiego kodeksu przewidział, jakim jest zadanie sekundantów i jakie ich obowiązki: w trakcie pojedynku bronić swego paukanta i unieszkodliwić przeciwnika, w razie zaś, gdyby wynikło jakieś tam śledztwo czy dochodzenie, dawać świadectwo prawdzie. (Bo w Meksyku nie jest znane staropolskie przysłowie, iż nie wolno jest cyganowi świadczyć się własnymi dziećmi).

Oto jakie są wymogi kodeksu meksykańskiego i jakie role kochający wuj przydzielił swym dwóm siostrzeńcom, studentom Uniwersytetu, przez podstęp, bez ich świadomej zgody. I dwaj Bogu ducha winni młodzieńcy podzielili między sobą po równej części brzemień tych zadań, które na nich p. Bohdan Dzierdziejewski z woli meksykańskiego ustawodawcy włożył: jeden z nich wchłonał w swoje młode ciało śmiertelny ołów, który przypadkiem mógłby ugodzić jego wuja i opiekuna, drugi stanął dzisiaj przed sądem, by wypowiedzieć z dziecinną naiwnością skłeczone zeznanie o tym wystrzale, który widział na własne oczy i słyszał na własne uszy, a który padł rzekomo w momencie, gdy pięść napadającego znalazła się w odległości kilku centymetrów od nosa swojej ofiary...

Tak! On to widział, on tę odległość zmierzył!!

Tamten z braci lepszą cząstkę obrał, nie dożył dnia hańby...

Ale, Panowie Sędziowie, nie powiedziałbym wszystkiego, co powiedzieć trzeba na usprawiedliwienie tych 2-ch młodych, niewyrobionych ludzi, użytych z premedytacją, jako narzędzie do dokonania rozprawy, gdybym nie przytoczył jednej jeszcze, wielce dla nich łagodzącej okoliczności, tej mianowicie, że obaj bracia byli słuchaczami prawa na uniwersytecie Wileńskim, to też łatwo się przytrafić mogło, że słyszeli kiedyś z wysokości tego świętego piedestału, jakim jest dla studenta katedra jego uczelni, zdanie swego profesora p. Bronisława Wróblewskiego, że napad dokonany z bronią w ręku, we 3-ch na jednego może być w pewnych wypadkach uważany za rzecz spowodowaną przez „wyższą konieczność“ i „psychologicznie usprawiedliwioną“.

* * *

Ale, pilno mi już przyrzeć się temu, jak Meksykańska teoria została wcielona przez p. Dzierdziejewskiego w czyn, jak nagromadzona energia potencjalna przeobraziła się w energję kinetyczną.

Zimny styczniowy wieczór, kilka minut przed zachodem słońca, wszystko się graży w szybko zapadającym mroku... Wilno, ulica Jagiellońska. Sunie chodnikiem trzech ludzi, wyciągniętych w tyraljere, za kimś się oglądają, za czymś węższą. Ktoś biegły w dziedzinie egzotycznych obyczajów odrazu by odgadł, co się święci, rzekłby niechybnie: tu się szykuje meksykańska honorowa rozprawa. Niechże jednak nam Polakom, którzy się na tem nie znamy, wolno będzie ocenić tę sytuację z naszego punktu widzenia, ze stanowiska naszych pojęć...

Gdy widzimy tych trzech ludzi czujnie sunących naprzód, gdzie jeden starszy przywodzi, a dwóch młodych powolnie słucha rozkazów, przypomina się nam żywo barwny obraz z dawno minionej przeszłości: widzimy wyraźnie postać starego Kiemlicza w asystencji dwóch potężnych, a nieokrzęsanych synów, którzy tylko patrzą w oczy rodzica i czekają na hasło, by puścić w ruch szablę i pięście. „Ociec, prać? — pytają. „Prać!“ — pada odpowiedź, i na pierwsze skinienie wałęsają się ciosy, płynnie posoka winnego i niewinnego. Przypominają się nam łowy na grubego zwierza... Z oszczepami na niedźwiedzia w kniei; osaczyć go! otoczyć zwartym pierścieniem, przeciąć każdą drogę odwrotu! utrupić na miejscu...

Tak się ongi czasu polowało na dzikiego zwierza w puszczy, tak się dzisiaj poluje na ludzi na ulicach miasta. I nie zmienia postaci rzeczy, że wśród napadających był jeden tylko człowiek aktywny, pozostali zachowywali się biernie. To tak często się widzi analogiczne sytuacje w praktyce sądowej. Czy to raz się widziało napady, gdzie tylko jeden z napadających był zdolny do „mokrej roboty“, pozostali to fuszerzy, fuksy, co nawet kury nie potrafiliby zarżnąć. Jednak taki, co nic aktywnie nie działał, co stał tylko na czatach, co tylko swą obecnością samą wywierał presję na napadniętego, jest ze stanowiska prawa typowym pomocnikiem, typowym uczestnikiem przestępstwa. Weźmy dla przykładu stan faktyczny, objęty 4 albo 6 punktem art. 589 k. k. Żaden sędzia nie zawaha się skazać takiego biernego pionka na szereg lat więzienia za to jedynie, że samą swą obecnością

tworzył gromadę, a przez to powiększył trudności obrony dla napadniętego, przez to czynił napad groźniejszym (z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego).

(Nim jednak odtworzę moment, gdy się niczego niepodejrzewający Zygmunt Karnicki spotkał z tą ekspedycją karną, muszę się zastrzedz, iż jest pewna kategoria materiału dowodowego, która bezwarunkowo musi być wyeliminowana z liczby danych, na których Sąd oprze swoje wyrokowanie. Na kategorie tę składają się zeznania naocznych świadków, którzy mają ambicję odtworzenia przebiegu krwawego starcia ze wszystkimi detalami i z całą chronologiczną ścisłością.

Przy współczesnym stanie nauki uznać należy, że wartość tego rodzaju zeznań, złożonych w najlepszej nawet wierze, równa się zeru. Wyszła niedawno obszerna książka, poświęcona całkowicie ocenie wartości zeznań świadków — „La critique du témoignage“ Gorphe'a. Jest w niej obszerny rozdział o spostrzeżeniach świadków, powstałych w stanie emocji wogóle, zaś strachu i uniesienia w szczególności. Autor dochodzi do konkluzji, że wrażenia świadka, odmiesione w tych warunkach, są najzupełniej wypaczone. Jego spostrzeżenia są dokonane jakby przez szkło krzywe i przytem sztucznie zabarwione na różne kolory. Nauka, jak widać z tego dzieła, poczyniła szczególnie miarodajne studia nad temi zaburzeniami uwagi i zdolności obserwacyjnej, jakie wywołują zamachy z bronią w rękę: profesorowie Liszt i Munsterberg organizowali sztuczne zamachy rewolwerowe podczas seminarjum w uniwersytec-

dzie do swego mieszkania. Miał na sobie wielkie, ciężkie futro, w rękę niósł tekę z papierami. Na podstawie tego, co wiemy o zdrowiu i siłach p. Karnickiego, nietrudno nam uprzytomnić sobie, jaką on reprezentował siłę obronną. Postawmy się na chwilę w jego sytuacji, sytuacji człowieka, dotkniętego w ciężkim stopniu leukemją, t. j. tą groźną formą niedokrwistości, która w wybitnym stopniu podkopuje wszystkie siły organizmu. Każdemu z nas, dajmy na to w okresie rekonwalescencji, zdarzało się przechodzić krótkotrwałą anemię. Co za szum w głowie, co za niepewność kroku, co za wysiłek, by się utrzymać w pionowej postawie i stąpać tak, jak przystało na zdrowego człowieka. O ileż ciężiej te wszystkie czynniki muszą się ujawniać u człowieka, który miesiące i lata całe jest tą niemocą nekany; a nie można zapominać ponadto, że człowiek ten posiada według orzeczenia lekarskiego, zaledwie $\frac{1}{10}$ część wzroku człowieka normalnego, przytem ma poważnie upośledzony słuch. Nie znamy szczegółów tego ostatniego cierpienia, wydaje się być jednak rzeczą nieobojętną dla sprawy, że jest ono umiejscowione w uszach, t. j. w tym organie, gdzie się znajdują centra, dające całemu organizmowi poczucie równowagi.

Nie można się oprzeć wrażeniu, widząc tę postać, posuwającą się zwolnina o mroźnym zimowym zmierzchu, że niemal cała suma energii fizycznej, jaka się w tym nadwątlonym organizmie mieściła, szła całkowicie na dźwiganie futra, nieproporcjonalnie do sił właściciela wielkiego i ciężkiego, i na stąpanie naprzód mniej lub więcej pewnym krokiem.

I oto wyrastają przed nim, jak z pod ziemi, trzy ciemne postacie, których Karnicki wzrokiem krótkowidza rozpoznać, oczywiście, nie był w stanie, poczem w oka mgnieniu pada pierwszy cios, wymierzony w głowę.

Chciałbym się przez chwilę zatrzymać na tej wersji, jaką przytacza p. Dzierdziejewski i która ma być najbardziej niebezpieczna dla Karnickiego, tej mianowicie, że pierwszy cios był zadany pięścią w twarz. P. Karnicki temu kategorycznie zaprzecza; ale gdyby tak właśnie było, jakie stąd płyną konsekwencje? Czy zaistniały już wówczas warunki, upoważniające p. Karnickiego do bronięcia się? Oczywiście, że tak: był tu zamach na dobro osobiste w najściślejszem tego wyrazu znaczeniu; było ponadto i niebezpieczeństwo bardzo poważne, tak bowiem jest zbudowany ludzki organizm, iż tutaj są umieszczone najważniejsze dla życia organy, a jednocześnie i najbardziej wrażliwe: dość jest potężnego uderzenia pięścią w okolicę oka, a oko może wypłynąć; przy pewnej sile uderzenia w tej lub innej okolicy twarzy, skroni czy czoła, może pęknąć błona uszna, wędz zmiążdżeniu kość nosowa, w pewnych rzadkich wypadkach powstać pęknięcie czaszki, nie mówiąc już o złamaniu szczęki przy odpowiednio umiejętnem uderzeniu, a wszak kunszt ten niewątpliwie posiadał p. Dzierdziejewski, tak dokładnie obznajomiony z zamorskimi sposobami walki.

Kwestja, czy bicie pięścią po głowie i twarzy jest czynnością niebezpieczną dla zdrowia i życia, była niejednokrotnie przedmiotem rozpoznawania przez nasze sądy. Przypominam sobie sprawę niedawno zakończoną: Sąd Apelacyjny w Warsza-

wie skazał niejakiego Krzysztownskiego na surową karę za wybite oka i przytoczył w swoich motywach, iż ten, kto wymierza cios pięścią w okolicy tak delikatnego organu, powinien z góry liczyć się z groźnymi następstwami, jakie podobne uderzenie może za sobą pociągnąć.

Ale powtarzam raz jeszcze, że p. Karnicki kategorycznie zaprzecza, by uderzenie ręką miało miejsce, twierdząc, że się nań odrazu posypały ciosy, wymierzone laską. Że te uderzenia zadane były, tego nikt zresztą nie kwestjonuje. Samo przez się rozumie się, iż to wszystko, com wypowiedział o niebezpieczeństwie bicia po głowie pięścią, stosuje się w daleko większej mierze do ciosów, zadanych twardem narzędziem. Mam więc podstawy do twierdzenia, że było tu zupełnie realne niebezpieczeństwo dla zdrowia, a poniekąd dla życia napadniętego, a zatem ma tutaj zupełne zastosowanie art. 45 k. k.

Lecz ponadto ja stanowczo neguję, by p. Karnicki miał możliwość w mgnieniu oka zrobić użytek z broni, ukrytej pod futrem w kieszeni ubrania. Na wydobycie rewolweru i danie strzału potrzebny był okres conajmniej kilku sekund. Uważam za rzecz niewątpliwą, że pierwsze strzały padły nasamprzód ze strony p. Dzierdziejewskiego, gdyż trudno przypuścić, by człowiek, planujący napad od szeregu dni, mający w kieszeni od kurtki rewolwer zarepetowany i gotowy do strzału, potrzebował więcej czasu na puszczenie broni w ruch, niż ten, kto był napadem zaskoczony zniemacka, miał broń głęboko ukrytą pod fałdami futra i szukał jej drżącą ręką. Ja nie przywiązuję zresztą istotnej wagi do tego, jaka była dokładna kolej-

ność ruchów, przy tem zawrotnem tempie. Dla mnie jest jasnym, że od chwili pierwszego uderzenia do momentu znalezienia się Karnickiego w murach swego domu, Karnicki obiektywnie znajdował się w warunkach, które usprawiedliwiały zastosowanie najostrzejszego środka obrony koniecznej.

Przy ocenie konieczności obrony, jako pobudki czynu, niewolno lekceważyć również momentu subiektywnego. Może się bowiem zdarzyć, że w rzeczywistości niebezpieczeństwo nawet nie było tak potężne, jednakże w danych warunkach człowiek miał słuszne podstawy, by uważać to niebezpieczeństwo za nader groźne dla jego zdrowia i życia. W danym wypadku okolicznością decydującą dla oceny sytuacji była dysproporcja sił: trzech na jednego, trzy pary potężnych ramion przeciwko jednej parze rąk, nadwątłych chorobą. A więc jakież wyjście, jaki ratunek? Bronić się rękami — to beznadziejne, śmieszne, jawna i oczywista przegrana. Niechże się nikt nie dziwi, że w tym ułamku sekundy, jaki p. Karnicki miał na zorientowanie się w sytuacji, przemknęła w nim jedna myśl rozpaczliwa: „mam nabity rewolwer w kieszeni, byle zdążyć go stamtąd wyrwać, byle strzelić przed siebie, bo inaczej nastąpiła moja ostatnia godzina“...

A mamy bardzo ważny sprawdzian, świadczący, że obawy te nie były płonne: nawet akt oskarżenia przyznaje, że p. Dziendziejewski „zaprzestał dalszej walki“ dopiero w chwili, gdy zobaczył siostrińca leżącego na bruku. Sam p. Dziendziejewski tutaj na rozprawie wyznał, że dopiero pod wpływem tego tragicznego widoku zaprzestał „dalszej strzelaniny“. A więc mamy przyczynę i sku-

tek, a więc mamy niezbity logiczny dowód, że gdyby nie strzały p. Karnickiego i nie ich nadspodziewanie a tragicznie skuteczny wynik, ofensywa trwałaby dalej, bitoby go i strzelano, jak do celu na ćwiczeniach.

Tak jest, Panowie Sędziowie, musimy się postawić w położeniu człowieka podstępnie napadniętego przez trzech, na którego głowę sypią się jeden po drugim ciężkie razy, który instynktowo czuje, że jeszcze chwila, a utraci zdolność do obrony, straci przytomność, padnie. Jeszcze chwila, a będzie zapóźno, — będzie po wszystkim...

Ten strzał Karnickiego — to rozpaczliwy krzyk, wrywający się z głębi trzewi, z każdego atomu ludzkiego jestestwa: ja chcę żyć! ja nie chcę umierać! Ja nie chcę zginać, jak pies na ulicy, pod ciosami oprawcy!...

Przychodzi tutaj matka tego przedwcześnie zmarłego młodzieńca, by przez usta swoich rzeźników upomnieć się o swoją krzywdę, by bronić pamięci swego dziecka. Nie wiem, czy to jest potrzebne, gdyż niema tutaj ani jednego człowieka, któryby nie miał zrozumienia dla macierzyńskiego bólu, niema człowieka, któryby pospółu z matką nie oplakiwał przedwczesnego zgonu tej niewinnej a jałowej ofiary.

Natomiast, jeżeli oprócz krzywdy moralnej, powódziewanie cywilni chcą tutaj bronić jakiejś wyższej zasady, jakiegoś wyższego nakazu, który rzekomo został przez p. Karnickiego pogwałcony, to nie mogą się ze słusnością tego stanowiska po-

godzić, to muszę stwierdzić dobitnie, że po błędnej linii idzie powództwo cywilne ze swemi żądaniami.

Nie wolno tu przemilczeć innego groźnego memento, które z tej sprawy wyziera: mnożą się w naszej Ojczyźnie wypadki załatwiania wszelkich porachunków przez użycie siły pięści, przez działanie kupa przeciwko jednemu. W stolicy kraju dziesięciu uzbrojonych oficerów znęca się nad posłem sejmowym, obudzonym ze snu, w imię jakichś ideałów politycznych, tutaj kilku rzuca się na jednego w imię idei obrony honoru. Kult pięści i kija szerzy się w społeczeństwie, przybierając groźne rozmiary. Czy nie wolno zapytać, dokąd idziemy, w jakąż staczymy się przepaść!

Jest jeszcze inna, jeszcze świętsza, jeszcze wyższa zasada, która została sponiewierana, która pokutuje w tej sprawie i upomina się władnie o swoje prawo do życia: zasadą tą jest dobro naszej młodzieży. Posiada nasz naród wiele wad, wiele nam można zarzucić, jednakże nikt nie może powiedzieć, byśmy nie mieli bezgranicznego przywiązania i czci dla naszej młodzieży.

Ludzie starszego pokolenia, zrodzonego w niewoli, są sterami wojną, częstokroć wykolejeni przez wypadki, wielu najlepszych synów Ojczyzny zginęło. Kraj zubożały i zniszczony powoli i z mozołem dźwiga się i rozbudowuje. Gdy się to wszystko zważy, jest zrozumiałem, jak głęboką treść, jak promienne nadzieje naród Polski wlał w słowa, które się tak często, jak pacierz, u nas powtarza, że młodzież Polska jest przyszłością i bogactwem Narodu. Tem to się dzieje, że tak boleśnie odczuwamy każdą krzywdę, jaką się tej

młodzieży wyrząza, że tak surowo potępiamy każdego, kto tę młodzież na błędne drogi prowadzi.

Jeżeli zatem mamy się w tej sprawie upominać o słuszne prawa pogwałconej zasady moralnej, to powinniśmy wszyscy wystąpić z akcją cywilną, ale skierowaną do p. Bohdana Dzierdziejewskiego.

Powództwo to podpiszą i Sędziowie i strony, Prokurator i oskarżony, podpisze je każdy uświadomiony obywatel, gdyż to, co uczynił p. Dzierdziejewski, godzi w interes całego społeczeństwa.

A treścią tego powództwa będzie pytanie, jakim prawem nadużyłeś władzy głowy rodziny? Jakim prawem ważyłeś się wciągnąć dwóch młodzieńców, noszących zaszczytne miano studentów Uniwersytetu Polskiego, do twojej krwawej rozprawy? Jakim prawem skalaleś ich młode dusze?

Oto są pytania, które dręczą wzburzone sumienie społeczeństwa, a na które znajdzie się niewątpliwie odpowiedź w waszym, Panowie Sędziowie, wyroku.

*

W Y R O K

Po przeprowadzeniu przewodu Sądowego i wysłuchaniu głosów stron, **SĄD OKRĘGOWY** fęrował wyrok, mocą którego oskarżony **Zygmunt Karnicki-Smołeński** został skazany na **3 miesiące twierdzy** za zabójstwo dokonane przy przekroczeniu obrony koniecznej.



1180081580

PAd

Uniwersytet Wrocławski
Biblioteka Wydziału Prawa,
Administracji i Ekonomii

205571¹

Exemplarz udostępniany w czytelni